



CAROLINA DE ROBERTIS

BOGOWIE TANGA

Dante umarł jako szczęśliwy człowiek, dziwak znany z tego, że miał w domu trumnę. Plotkarki z Montevideo latami spekulowały na temat tej trumny. To wampir. Szaleniec. Panicznie boi się śmierci. Trzyma w niej swoje skrzydce; trumna jest obłożona zaklęciem wiedźmy i dlatego za każdym razem, gdy ten stary drań zaczyna grać, coś rozdziera ci duszę. Nigdy jednak nie domyśliły się prawdziwego powodu.

Ostatnia chwila zastała go w kuchni, nagle coś szarpnęło jego sercem, jakby ogromny pędzel przebił jego pierś i pomalował jej wewnętrzną stronę na biało. Nie mógł oddychać; próbował zacisnąć palce na krawędzi stołu, ale jego dłoń trafiła na pustkę. Gdzieś daleko coś zabręczało. Nie był to ból, raczej ciśnienie, które zmusiło go, żeby zapadł się w siebie, niemal słodko, i pogrzebało wszystkie jego sekrety pod stertą gruzu. Ostatnia myśl Dantego nie dotyczyła jednak tajemnic, muzyki, Boga czy nawet kobiety, która wypełniła jego życie radością. Dotyczyła Cory. Cora, skarbie, *carissima*, podejdź bliżej. Jesteś tu? Weź mnie za rękę. Jeśli jest światło, poprowadź mnie ku niemu. Jeśli nie, nie boję się, bo jesteś przy mnie. Ty. Jesteś tu. Promienna. Tak jak wtedy, zanim to wszystko się zaczęło.

Sięgnął po rękę Cory, a ona się uśmiechnęła i otworzyła usta, z których wylała się struga światła.

UNO

Nie myśl o niczym, myśl o domu

Leda przybyła do Argentyny czwartego lutego 1913 roku na statku parowym, za sprawą którego dwadzieścia dni wcześniej Włochy zniknęły, połknięte przez wygłodniałego potwora zwanego horyzontem. Ostatniego ranka na pokładzie ubrała się starannie i gdy bagażowy przyszedł, by wynieść na pokład kufer, zamknęła go szczelnie, tak by nic nie wypadło, żaden rękaw, drobinka kurzu ani nawet zbłąkane wspomnienie. Potem usiadła w milczeniu. Kobieta, która dzieliła z nią kaję, Fausta, zostawiła pościel zmiętą. Bez wątpienia była już na pokładzie i wyciągała szyję, wyglądając wybrzeży Buenos Aires. Jeśli Leda nie znajdzie jej w tłumie, być może nigdy więcej jej nie zobaczy. Dziwna myśl po tym, jak dwadzieścia nocy z rzędu dzieliła kajutę z kobietą, która nie była jej krewną i którą poznała dopiero pierwszego dnia rejsu. Obcy ludzie. Uczucie obcości. Te dwie rzeczy towarzyszyły jej w podróży do Ameryki Południowej. Zastanawiała się, co powiedziałyby matka, gdyby była z nią w tym małym, dusznym pomieszczeniu. „I oto jesteśmy”, „Cuchnie tu jak w chlewie” albo „Na litość boską, Ledo, popraw czepek”. Powtarzała sobie, że pewnego dnia zobaczy znów matkę, ojca, kuzynów, wujów, ciotki i pozostające w ciągłym ruchu ręce prababci,

choć wszystko to było nieprawdą. W ciągu kolejnych lat Leda miała zobaczyć wiele rzeczy, które wprawia ją w osłupienie, doprowadzają do tego, że jej dusza rozpadnie się na kawałki i przybierze formy, o jakich jej się nie śniło, ale nigdy więcej nie zobaczy rodziny.

Siedziała na kufrze, który zabrała z domu. Jakże niewiele rzeczy kryło się w jego wnętrzu. Starannie poskładane sukienki. Kilka książek. Słoik oliwek w zalewie przygotowanych przez żonę piekarza. Orzechy laskowe owinięte w grube płótno. Skrzypce ojca, przekazywane w rodzinie z pokolenia na pokolenie, po raz pierwszy opuszczały Włochy, by stać się darem dla jej męża.

To dziadek bez przerwy opowiadał jej historię skrzypiec, jakby powtarzanie jej mogło złagodzić poczucie straty; jak gdyby dzieje ludzkości nie zostały spisane w księgach i zbiorach mitycznych uniwersytetów w Rzymie i Neapolu, których nikt z ich wioski nigdy nie widział, ale w przedmiotach takich jak ten. W skrzypcach dotykanych przez setki rąk, kochanych, używanych, głaskanych i tulonych do piersi. Przedmiotach, które przeżywały swoich właścicieli i przechowywały ich tajemnice i kłamstwa.

Wyobraź sobie, mówił dziadek, że do roku tysiąc pięćset pierwszego te skrzypce należały do króla Neapolu. Tak, to prawda, nie waż się w to wątpić. Nikt nie wie, jak długo były w rodzinie królewskiej, lecz bez względu na to, do kogo należały wcześniej, nie ma wątpliwości, że trafiły do rąk Fryderyka Aragońskiego, ostatniego króla Neapolu z rodu Trastámara. Był cichym, życzliwym człowiekiem, który, chcąc nie chcąc, musiał zmierzyć się z dwoma siłami – dwoma narodami: Hiszpanią i Francją, ostrzycymi sobie pazury na jego tron, wciąż osłabiony po zbyt krótkim panowaniu jego ojca, brata i bratanka, którzy rządili przed nim. Nadążasz za mną, Ledo? Próbował panować, ale wystarczy, żeby

przeciwnicy zjednoczyli siły z twoją pechową gwiazdą, i nagle zostajesz otoczony, nie masz dokąd uciekać. Co więc robisz? Powiem ci. Wybór jest prosty. Albo umierasz, albo tak jak stoisz, uciekasz do innego kraju i rozpoczynasz zupełnie nowe życie. Tak właśnie postąpił Fryderyk: uciekł. Opuścił swój kraj. Jednak nie jako wolny człowiek, ale jako więzień, otoczony żołnierzami. Zanim wyjechał, zanim przyszli po niego gwardziści, otworzył okno swej sypialni, spojrzął z góry na Neapol i zagrał na skrzypcach. Zagrał utwór żałobny, który zdawał się dobywać z samego wnętrza ziemi. Jediną osobą, która go słyszała, był pewien hrabia. Opowiadał później, że była to najsmutniejsza i najpiękniejsza muzyka, jaką w życiu słyszał. Kiedy król przestał grać, oddał hrabiemu skrzypce.

„Zatrzymaj je – powiedział. – Ja już nigdy nie zagram”.

Hrabia z początku zaprotestował „A co z twoimi synami?” – zapytał.

Król Fryderyk pokręcił tylko głową. „Skrzypce muszą tu zostać” – odparł.

Nikt nie wie, czy zesłany do Francji król jeszcze kiedyś zagrał na skrzypcach; jest to jeden z tych szczegółów, które na zawsze zatoneły w odmętach czasu, tak więc, Ledo, nie dowiesz się tego ode mnie. Wiadomo jednak, że hrabia zatrzymał skrzypce i przekazywał je kolejnym pokoleniom swojej rodziny, która w końcu, w tysiąc osiemset piętnastym roku, sprzedała instrument mojemu pradziadkowi, żeby spłacić długi. Wraz z nim mój pradziad poznał opowieść o królu Neapolu i jego pożegnaniu z miastem, co oczywiście podniosło wartość skrzypiec (niezależnie od tego, czy historia ta była prawdziwa, pomyślała Leda, ale nie powiedziała tego na głos, jako że dziadek nie miał wątpliwości co do jej autentyczności). I tak oto sam król grał na tych skrzypcach w ostatnim dniu Neapolu jako niepodległego królestwa. Co dokładnie grał Fryderyk? Jak brzmiała ta muzyka? Nigdy się tego nie dowiemy.

Tak to już jest z melodiami: ulatują w powietrze i tam giną. Tak jak wspomnienia. I ciało. Wspomnienia, melodie i ciała znikają wraz z naszą śmiercią. Instrument nie jest jak ciało. Jest niczym dusza, która trwa, nawet gdy nas już nie ma.

Leda wyszła na pokład. Był gorący, parny dzień, i krople potu perliły się na czołach mężczyzn, których było tu znacznie więcej niż kobiet. Większość z nich była młoda, choć wśród tych tylko nieliczni mieli jak ona siedemnaście lat. W ich oczach widziała nadzieję i gorączkowe wyczekiwanie; trzysta sześćdziesiąt osiem napiętych ludzkich strun. Wśród kobiet były głównie żony płynące na spotkanie swoich mężów w Buenos Aires, tak jak Fausta (i ja, pomyślała Leda. Pamiętaj, pamiętaj, zganiła się w duchu, że ty również jesteś żoną). Na pokładzie roiło się od ludzi, jak w dniu, kiedy statek wypływał z Neapolu. Nikt nie grał w karty dla zabicia czasu. Nuda niczym zbędny balast została wyrzucona za burtę. Wszyscy byli na nogach i tłocząc się przy relingu, wyciągali szyje w kierunku lądu.

Argentyna. Leda zaczęła się przeciskać w stronę relingu. Po prawej stronie młoda kobieta szeptem odmawiała różaniec. Po lewej mężczyzna po czterdziestce ocierał łzy, podczas gdy stojący obok niego młodzieniec palił papierosa z obojętnością albo, pomyślała Leda, z czymś, co miało uchodzić za obojętność. Jego postawa wydawała się teatralna. Leda poczuła pot, dym papierosowy i ostry zapach wody kolońskiej. Nieco dalej, trzy, cztery rzędy z przodu, dwóch mężczyzn podniesionymi głosami rozmawiało o lądzie, który zobaczyli.

– *Che bella*. Piękny.

– Tak. Piękny.

Powtarzali to do znudzenia, jakby wypowiedanie tych słów na głos miało utwierdzić ich w przekonaniu, że to, co mówią, jest prawdą, która doda im sił, kiedy zejda na ląd. Ich głosy niesły się pośród jęków i pomruków tłumu. Leda delikatnie

przepchnęła się do przodu. Stojący przed nią mężczyzna odsunął się, najwyraźniej mając dość widoków, więc wślizgnęła się na jego miejsce, zanim ktokolwiek inny zdążył je zauważyć. Brakowało jej widoku lądu, ale nie było jakiego lądu; chciała w końcu zobaczyć Buenos Aires – swój nowy dom. W ciągu ostatnich trzech tygodni często wystawała sama przy relingu, wpatrując się w bezkresne wody oceanu i wyobrażając sobie, jak wygląda miasto, do którego zmierzała, ale widziała jedynie bujne tropikalne paprocie i drzewa ogrodu botanicznego, w którym Dante tuż po przyjeździe zrobił sobie zdjęcie, żeby wysłać je rodzinie. Fotografia przechodziła z rąk do rąk podczas niedzielnego obiadu, przy wtórce cmoknięć, które wyrażały zarówno podziw, jak i konsternację.

Jest naprawdę szczęśliwy w tej Argentynie.

Wygląda na szczęśliwego.

Jest za chudy.

Patrzcie na te papugi, są tak duże, że mogłyby go zjeść.

Nie bądź śmieszny, Mario. Nie są prawdziwe. To tylko pomalowane drewno.

Skąd ta pewność?

Mam oczy.

Nic nie wiesz, idioto.

Ja tylko...

Na litość boską, koniec już tych kłótni, strofowała ich matka Ledy.

A może tak pozwolimy przyszłej żonie rzucić na nie okiem?

Właśnie! Ledo, chcesz je zobaczyć?

Fotografia trafiła do jej rąk. Na zdjęciu Dante stał pośród dziwnych paproci o ogromnych liściach, w towarzystwie dwóch papug, które, w przeciwieństwie do tego, co twierdził jej brat, wydawały się jak najbardziej żywe. Trzymał niezapalonego papierosa i uśmiechał się znacząco. Jestem panem tego miejsca, zdawała się mówić jego poza. Oczywiście

to, że akurat w tym miejscu znalazł fotografa, który zrobił mu zdjęcie, nie znaczyło, że całe miasto tak wygląda. Wiedziała o tym, a przynajmniej jakaś jej część miała tego świadomość. Jednakże obraz ten na dobre utkwiał jej w głowie.

Teraz, na parowcu, zastanawiała się, jak dziś wieczorem będzie wyglądał jej pierwszy raz z Dantem. Jak będzie jej dotykał i ile to wszystko potrwa. Czy będzie czuła ból, czy może rozkosz, jak panny młode w balladach? Czy będzie myślała o drzewach figowych w sadzie, o tym, jak ich owoce lśnią, gdy ściska się je w palcach? A może nie będzie myślała o niczym. Może będzie myślała o domu.

Grupa mężczyzn z przodu najwyraźniej napatrzyła się już na zbliżający się ląd i kiedy się odsunęli, Leda stanęła przy relingu i oparła się o niego. Wiatr smagał jej twarz i wypełniał nozdrza słonym powietrzem. Obawiała się, że może zerwać jej z głowy niebieski czeppek, choć przypięła go wsuwkami, a utrata czepka – najpiękniejszej rzeczy, jaką miała okazję nosić, ozdobionego prawdziwymi perłami, które zdaniem jej matki „pasowały do przyszłej żony” – byłaby nie do zniesienia, tak więc przytrzymała go obiema rękami. Tłum wokół niej przerzedzał się (każdy z obecnych na pokładzie trzystu sześćdziesięciu ośmiu Włochów snuł wyobrażenia na temat własnej wizji Argentyny), tymczasem Leda spoglądała na widoczne w oddali Buenos Aires. Budynki wciąż wydawały się tak małe, że nie była w stanie powiedzieć o nich nic więcej poza tym, że istniały – że podczas gdy ona i jej rodacy nadal nie mieli pojęcia, co ich czeka po zejściu na ląd, przynajmniej coś tam zastaną; prawdziwe miejsce, które uświadomi im, po co tak naprawdę przebyli ocean i że Ameryka to coś więcej niż bajka wymyślona przez przewoźników morskich, agencje sprzedaży biletów i krewnych z listami, które pisali do domu; nawet jeśli przekonanie się na własne oczy, że Ameryka istnieje, nie odkrywało prawdziwej tajemnicy, tajemnicy, którą

dużo trudniej było rozwikłać, a dokładnie tego, czym tak naprawdę był ów nieznany łąd.

Leda przez długi czas stała przy relingu i patrzyła, jak Buenos Aires dryfuje ku niej, a ponieważ nie śmiała wyobrazić sobie jego budowli ani tego, jak odnajdzie się pośród nich, wyobrażała sobie siebie i Dantego w ogrodzie botanicznym, przechadzających się między egzotycznymi paprociami i śpiących pod ich ogromnymi liśćmi, które przypominały skrzydła wielkiego łagodnego łabędzia.



Ślub Ledy był szybki, skromny i zakończył się, zanim przestała czuć na języku smak hostii. Ponieważ państwo młodzi mieszkali na różnych kontynentach, uroczystość odbyła się z udziałem pełnomocnika; w imieniu Dantego przy ołtarzu stanął jego ojciec Mateo, wuj Ledy. Panna młoda miała na sobie prostą, płócienną sukienkę, którą pożyczyła w pośpiechu od kuzynki. Była na nią za krótka – Leda był najwyższą dziewczyną w Alazzano – i marszczyła się na biodrach, ale z białymi goździkami w dłoni i we włosach i ze sznurem matczynych pereł na szyi panna młoda prezentowała się na tyle dobrze, by zadowolić tłum krewnych i melancholijnego księdza. Włożyłaby suknię ślubną matki, jak nakazywał zwyczaj, ale skoro ślub miał się odbyć natychmiast, a dzień później panna młoda miała wsiąść na statek do Argentyny, nie było czasu na przeróbki. Choć w młodości jej matka nie była tak korpulentna jak teraz, mogła się poszczycić krągłościami, o czym świadczyła suknia – zmysłowymi kształtami, wobec których pozbawiona bioder i piersi Leda prezentowała się nader skromnie. „Jak to możliwe, że wydałam na świat dziewczynę, której brak kobiecych atrybutów?” – mawiała czasami matka. Obie znały jednak odpowiedź: w rodzinie dziadka były dwie stryjeczne babki, które słynęły z

równie niekobiecych kształtów. Przeżyły swoje życie jako stare panny. Z powodu ich wysokich, szczupłych ciał, srogich charakterów i tendencji do trzymania się razem, jak gdyby wyciągnięto je z tego samego pudełka, ludzie mówili na nie Gwoździe. Stojąc przy ołtarzu i słuchając pomruków księdza, Leda miała wrażenie, że wyczuwa ulgę, z jaką matka przyjęła wiadomość, że córka wychodzi za mąż, a co za tym idzie – uniknie losu Gwoździa. Dziewczyna nie wiedziała jednak, czy od ulgi nie jest silniejszy smutek, że ta córka już niebawem wyjedzie do dalekiego, obcego kraju. Odkąd Dante przysłał list, w którym pisał: „Przyślijcie Ledę, jestem gotowy”, w zachowaniu matki wyczuwało się napięcie.

– Na dobre i na złe? – spytał ksiądz.

– Sì – odparł *zio* Mateo.

– Sì – powtórzyła Leda, a jej głos odbił się echem od łukowatego sklepienia, tak że figury świętych zdrząły w niszach.

Potem powtarzali słowa przysięgi. *Zio* Mateo nie patrzył na nią. Zawsze miał nieprzenikniony umysł. Był typem człowieka, który sprawiał wrażenie, jakby żył poza swoim ciałem. Podczas rodzinnych spotkań milczał albo wygłaszał długie, żarliwe monologi, których nikt nie miał odwagi przerywać. Nawet teraz, biorąc ślub z jego synem, Leda nie była w stanie wyczytać niczego z twarzy *zio*; nie było w niej żadnej wiadomości, żadnego błogosławieństwa, tylko znudzona akceptacja, jakby wypełniał obowiązek, którego rezultat był mu całkowicie obojętny. Jak gdyby w ogóle nie myślał o swoim młodszym synu w Argentynie, o pocie i hałasie wypełniających dni Dantego, samotnych nocach i małżeńskim życiu, które już niebawem miał rozpocząć. Jakby zmęczyła go rola głowy rodziny i cała ta ceremonia, która była dla niego niczym więcej, jak tylko przykrym obowiązkiem. Ot, znużony, nękaný kłopotami patriarchy wypełniający swój obowiązek

przy ołtarzu. *Zio* Mateo był jednak kłamcą, oszustem. Leda czuła odrazę, ślubując temu człowiekowi; przez niego nad rodziną zawisła klątwa tak potężna, że nawet śmierć nie była w stanie jej zdjąć; klątwa, która mogła zrujnować jej małżeństwo, jeszcze zanim się rozpoczęło. Upominała się w duchu, że wuj zastępuje jedynie pana młodego, lecz odraza pozostała, ściskając jej żołądek i mącąc kościelny spokój.

Była zima, nietypowy czas na zaślubiny, i kiedy garstka gości szła po schodach na plac, Leda czuła, jak zimne powietrze kąsa jej policzki. Wyobrażała sobie, że świat będzie wyglądał nieco inaczej niż w chwili, gdy wchodziła do kościoła, że będzie lśnił tajemnym blaskiem, widocznym tylko dla świeżo upieczonych małżonków; że ona będzie w stanie dostrzec ukrytą strukturę, dzięki której ten świat stanie się bardziej zrozumiały i bliższy temu, jaki nosiła w sobie. Niezliczoną ilość razy słyszała słowa: „Zrozumiesz, jak dorośniesz”. I oto stała na progu kobiecości. Czar jednak nie zadziałał. Świat był taki sam. Jej brat, Tommaso, jak zawsze mówił coś, rozśmieszając ojca, lecz ona nie słyszała ich rozmowy. *Papà* prowadził ją pod ramię i ten delikatny, niemal nieśmiały dotyk dodawał jej otuchy. „Przysięgam, że to prawda, dostał cios prosto w... no, sam wiesz gdzie”, mówił jej brat. Ojciec znów się roześmiał, tym razem nieco zbyt głośno, a dźwięk, który dobył się z jego ust, był niski i gardłowy. Matka szła za nimi, emanując chaosem. Trójka dzieciaków tłoczyła się wokół niej, podobnie jak inne dzieci i ich matki. O czym rozmawiała kobiety? Do uszu Ledy dolatywały pojedyncze słowa: „wnuk”, „pomarańcze” i „nigdy nie dojrzały”. Ich głosy unosiły się i opadały melodyjnymi falami. *Zio* Mateo i jego najstarszy syn, Mario, szli z przodu w milczeniu. Kiedy przecinali plac, ich kroki odbijały się echem od kocich łbów, tych samych zaokrąglonych, szarych, nierównych kamieni, po których spacerowali przodkowie Ledy, kiedy szli na mszę, partyjkę

szachów albo prac ubrania w miejskich baliach, odkąd Dante Mazzoni uciekł z Apulii w 1582 roku – po tym, jak stanął po stronie francuskich Burbonów w nieudanej próbie obalenia rządów Hiszpanii – i osiedlił się tu, w Alazzano, maleńkiej wiosce, w dolinie figowców, duchów i gajów oliwnych. Teraz rodzina Mazzonich była właścicielami połowy ziem wokół wioski, a jednak padła ofiarą długów i innych demonów, które sprawiały, że młodsze pokolenia wyjeżdżały za granicę albo popadały w zapomnienie. Choć stwierdzenie, że ziemie należały do Mazzonich, nie do końca było zgodne z prawdą. Ich właścicielem był jeden człowiek. *Zio* Mateo. Ojciec Ledy, Ugo, jego młodszy brat, nie miał nic, nawet domu, w którym mieszkał dzięki łasce i hojności *zio*. Ten odziedziczył wszystko i dzięki niemu rodzina Ugo mogła jeść, uprawiać ziemię i oddychać.

Ach, jakże doskonale potrafimy ukrywać niechęć, pomyślała Leda, gdy weselnicy zbliżali się do Palazzo Mazzoni, domu wuja, największego budynku we wsi. Jego żona Crocifissa już wcześniej nakryła do stołu – na obrusach obok zastawy pojawiły się srebrne sztuce – i teraz wraz z innymi kobietami znikła w kuchni. Leda chciała do nich dołączyć, ale ciotki spojrzały na nią wilkiem i zablokowały przejście.

- Dokąd to? – spytały.
- Nie dziś.
- Nie w tej sukience.

W pokoju gościnnym pachniało kurczakiem w rozmarynie, sosem pomidorowym i świeżo upieczonymi ciasteczkami. Mężczyźni rozsiedli się, żeby zapalić, dzieci wybiegły na podwórko, a Leda przycupnęła w kącie, choć wołałaby pobawić się z dziećmi. Utkwiła wzrok w wiszącym nad kominkiem obrazie olejnym przedstawiającym winnicę pod czystym błękitem nieba. Na skraju winnicy wyjątkowo wysoki figowiec chwytał promienie słońca w soczyście zielone liście. Pamiętała

to drzewo. Rosło na skraju ziemi należącej do *zio Matea*, na granicy z majątkiem don Paola. Granica między gospodarstwami stała się kością niezgody między mężczyznami, a spór o ziemię zapoczątkowany przez ich dziadków trwał latami. Don Paolo rościł sobie prawa do drzewa figowego, którego owoce tak bardzo uwielbiała jego matka. Po długiej batalii miejscowy sędzia orzekł na korzyść *zio Matea*, choć matka don Paola rozpuszczała plotki, że został on przekupiony. Wygrawszy sprawę, Mateo wziął siekiere i własnymi rękami ścinał drzewo. Zrobił to z dwóch prostych powodów: bo chciał i mógł. Odtąd nikt we wsi nie mógł się cieszyć jego owocami. Jednakże na obrazie szerokie liście figowca wyciągały się ku słońcu niczym rozcapierzone palce.

Leda niespokojnie wierciła się na krześle. Przebywanie w tym pokoju sprawiło, że zaczęła myśleć – a jakżeby inaczej – o Corze, która niegdyś tu mieszkała i nazywała to miejsce swoim domem. Jak to możliwe, że zabrakło jej na ślubie, zwłaszcza że był to ślub jej brata. Cora, jej bratnia dusza, niemal siostra, otworzyła przed nią świat, kiedy były dziećmi, zanim rozpoczął się ten koszmar; gdy ich duchy były tak wielkie, że mogły pożreć całe niebo, oblizać palce i mieć ochotę na więcej. Cora, która zdawała się rozumieć świat, która czesała włosy Ledy i podgrzewała jej mleko, kiedy mama była zbyt zmęczona; która nuciła jej kołysanki śpiewane przez matki małym dziewczynkom, zabierała ją nad rzekę po wodę, pokazywała, jak stawiać czoło nurtowi i nie bać się wody, gdy ta sięgała jej do kostek, kolan, a nawet do ud. Była taka odważna. Promieniała, gdy podkasawszy spódnicę, śmiała się do rozpuku. Dwa lata młodsza Leda stała na brzegu, bojąc się wejść dalej i patrząc na swoje stopy w krystalicznie czystej wodzie, która pieściła jej skórę i całowała ją. Cora ochlaprywała ją i wołała: „No chodź, chodź, co z tego, że zamoczysz spódnicę?!”. Cora, która pokazała jej, jak oskubać kurczaka

(zmiękczyć jego skórę, a pióra będą same wychodzić; odpowiednio rozgrzane nie będą stawiać oporu, zanurz ptaka we wrzątku i pozwól, by ciepło uczyniło cuda, złap i pociągnij), i nauczyła ją czytać. W zimowe wieczory siedziała w tym pokoju i czytała Ledzie na głos, a w jej ustach każda sylaba brzmiała rozkosznie i niemal smakowicie. Uwielbiała książki o podróżach. *Odyseję*. *Boską komedię*. *Joannę d’Arc*. Na koniec odkładała książkę i zaczynała opowiadać historie własnymi słowami, niejednokrotnie je ubarwiając. W jej opowieściach Odyszeusz wyzwał się i pływał z syrenami. Joanna d’Arc uciekała z więzienia, zanim spalono ją na stosie. W drodze przez piekło spotykały zmarłych z ich wioski: żonę sklepikarza, księdza i przodków, których imiona zapisano w księgach kościelnych. Dla aż palącej się do przygód wiejskiej dziewczynki, takiej jak Cora, nawet piekło wydawało się atrakcyjne. „Posłuchaj, Leda, mówiła, wyobraź sobie, że podróżujesz do miejsc, w których wszystko jest ci obce, nawet twoja twarz. Wyobraź sobie”. I Leda wyobrażała sobie. Kiedy Cora miała dziewięć lat, przy kamiennych baliach do prania dowiedziała się, że w pewnym wieku dziewczynki zaczynają krwawić. Leda miała wówczas siedem lat. „Mówią, że to boli”, szeptała Cora i mała Leda była przerażona. „Nie przejmuj się”, uspokajała ją przyjaciółka. „Mnie pierwszą to spotka, a gdy przyjdzie czas na ciebie, będę wiedziała, jak ci pomóc”. Ale tak się nie stało. Kiedy Leda zaczęła krwawić, Cory już nie było.

W ciągu godziny przybyło weselników. Wydawać by się mogło, że przyszła cała, licząca sto siedem osób, populacja wioski, a także kilku gości z Monte Rosso i Trinità, dwóch najbliższych wiosek w górach. Jako że nie było pana młodego, każdy chciał porozmawiać z Ledą, pogratulować jej i zapytać o Argentynę, o której nic nie wiedziała. Mężatki utworzyły wokół niej ciasny krąg, którego nijak nie dało się przerwać.

– Jesteś gotowa? Spakowałaś wszystko?

- Lepiej, żeby spakowała. Powóz przyjedzie o świcie.
- O świcie!
- Twój kufer musi być pełny aż po brzegi.
- Czy zimy są tam srogie?
- Nie, nie, Giovanni, teraz jest tam lato... Niewiarygodne, prawda? Więc kiedy dotrze na miejsce, będzie ciepło.
- Ach!
- Nawet jeśli nie będzie ciepło, Dante w mig ją rozgrzeje. Śmiech.
- Biedna panna młoda, wyszła za męża, a wciąż musi czekać.
- Ale będzie warto.
- O, tak. Nie przejmuj się, Ledo.
- Uwierz nam na słowo: nic ci nie będzie.
- Znowu śmiech.
- Ledo, przyniosłam ci orzechy laskowe z mojego sadu. Dla ciebie i Dantego, żebyście zjedli je razem po twoim przyjeździe.
- Jakie to romantyczne! Będzie mógł je dla ciebie otworzyć.
- Ha, ha, ha.
- Nie o to mi chodziło.
- Ale i tak to zrobi.
- Co?
- Muszę ci wszystko tłumaczyć?
- Nie wiesz?
- To nie jest śmieszne.
- Dość tego, drogie panie.
- Ale ona zawsze...
- Koniec kłótni.
- Ja też mam coś dla ciebie, Ledo. Oliwki z ostatnich zbiorów. Dla twojego Dantego.
- Naszego Dantego.
- Tak, dla naszego Dantego. Przecież zawsze będzie naszym Dantem. Pamiętasz, kiedy przyłapano go, jak kradł pomarańcze? Ile miał wtedy lat? Pięć?

- Cztery.
- Święta Panienko. Co za nad wiek rozwinięty chłopiec!
- Nie do zatrzymania. Nawet jeśli coś zbroił.
- Zwłaszcza wtedy.
- Ja nigdy nie miałam z nim kłopotów. Był zawsze uprzejmy, kiedy przychodził do piekarni. Sì, signora. Per favore, signora. Mały dżentelmen.

- Aż wyrósł na bardzo dużego dżentelmena.
- Założę się, że nic w nim nie jest małe. Ha, ha.
- Nie dla psa kiełbasa.
- Masz szczęście, Ledo.
- Wszystko będzie dobrze.
- Zbudujecie sobie w Argentynie małe królestwo.
- Nie na próżno nazwa Argentyna znaczy „srebro”.
- Tylko nie zapomnij o nas.
- Będziesz do nas pisać, prawda?
- Oczywiście, że będzie pisać.

Leda nie odzywała się ani słowem i nikt jej o to nie prosił. Zapadł zmierzch i twarze kobiet migotały w świetle lamp naftowych. Muzycy, którzy grali w drugim końcu pokoju, zrobili sobie przerwę na papierosa, a ich flety i skrzypce leżały milczące na krzesłach. Ledę świerzbiły palce, żeby sięgnąć po skrzypce – jak w dzieciństwie, gdy naśladowała ojca, który muskał palcami szyjkę instrumentu – szarpnąć struny, odkryć nuty, schować się przed światem, tak by nikt nie mógł jej powstrzymać, oszukać czas i gonić za melodiami, którymi jej *papà* zalewał pokój. Kobiety jadły drugą, trzecią dokładkę ciasta, a drobinki cukru pudru osiadały na ich wargach. Śmiały się, ale tylko w oczach nielicznych widać było ten śmiech. Leda czuła się dziwnie, jakby wszyscy – włącznie z nią – odgrywali sztukę teatralną, z której ktoś wyciął najistotniejsze kwestie. Niewypowiedziane słowa unosiły się w powietrzu, a ona nie była w stanie rozszyfrować ich znaczenia. Przeraziła

ją nagła myśl, że nie będzie widziała tych twarzy każdego dnia. Jaki będzie jej świat, gdy zabraknie w nim kobiet, które teraz otaczały ją wianuszkami, oferując śmiech, oliwki, słowa pocieszenia i inne rzeczy, o których nie śmiały mówić głośno – czym były te rzeczy? Głodem, tęym nożem – jak gdyby chciały wybrać się w podróż razem z nią, jakby ich dusze pragnęły wyruszyć za ocean, niczym pasażerowie na gapę upchnięci w kącie jej kufra. Nie uniosę tak wiele, pomyślała, nie dam rady zabrać was z sobą. Poczwała się samotna. Ale przecież tego właśnie chciała, prawda? Od czterech lat pragnęła stąd uciec. W wieku trzynastu lat zaczęła marzyć o tym, by zapakować w tobołek chleb i ubrania i wyruszyć do Neapolu pieszo albo błagać woźniców, żeby ją podwieźli. Naturalnie nie mogła tego zrobić. Wiedziała, jakie niebezpieczeństwa czają się na drodze i w mieście. Wyobrażała sobie, że wspina się na Wezuwiusza i rzuca się w jego czarną przepastną gardziel. Ale Wezuwiusz był daleko stąd. Jak mogła się tam dostać? Dwa tygodnie po piętnastych urodzinach Dante zaproponował jej inną możliwość. Podczas niedzielnego obiadu z rodziną ogłosił, że zamierza wyjechać do Nowego Świata, a gdy to mówił, promienie popołudniowego słońca przedarły się przez porośnięte winogronami treliaże i pokryły świetlistymi smugami jego twarz. Niedługo potem Leda wręczyła mu liścik: *Spotkajmy się o dziewiątej pod wysokim drzewem oliwnym za naszym domem.*

Kiedy przyszła na umówione miejsce, już na nią czekał. Stał w blasku półksiężyca.

– Nie tu – powiedziała. – Musimy się schować.

Przemknęła pod baldachimem gałęzi i ruchem ręki przywołała go do siebie. Teraz byli ukryci przed ciekawskimi spojrzzeniami, ale nie całkiem bezpieczni. Dante czekał, aż Leda rozpocznie rozmowę.

– Kiedy wyjeżdżasz? – spytała.

- Za trzy tygodnie.
- Dlaczego Argentyna?
- A czemu nie?

Przez chwilę przestępowała z nogi na nogę.

- Jesteś podekscytowany?
- Nie wiem. Chyba tak.
- Boisz się?
- Nie – odparł odrobinę zbyt pośpiesznie.

Zastanawiała się, przed czym ucieka. Czy chodziło o coś więcej niż puste kieszenie drugiego syna i chęć zmian? O śmierć jego siostry? O rzeczy, które widział w mrocznych zakamarkach domu?

- Ja bym była. To znaczy podekscytowana.
- Nie bałaś się?
- Może trochę.

Zamilkli. Jego cień wydawał się czarną masywną bryłą na tle liści.

Leda zebrała się na odwagę.

- Przyślij po mnie – zaczęła. – Jeśli chcesz żony.

Z ust Dantego dobył się dziwny dźwięk, coś jak powietrze wypuszczane przez zaciśnięte zęby. Blask księżyca z ledwością przebijał się przez kopułę liści. Leda czekała.

- Pojechałabyś? – spytał w końcu.
- Tak.

Milczał przez długą chwilę jak pokerzysta, który analizuje karty, które ma na ręku.

- Wyjechalibyśmy na bardzo długo.
- Tak.
- Pewnie na zawsze.
- Tak. Wiem.

- Musiałabyś długo czekać, zanim posłałbym po ciebie. Kilka miesięcy. Może nawet dłużej.

- Rozumiem.